

Działo się to kiedyś, w świecie całkiem podobnym do naszego. Istniał tam środkowoeuropejski kraj o nazwie zaczynającej się na P. Spory był i miał nawet stolicę, co prawda brzydka, szarą i depresjogenną, ale zawsze lepsza taka, niż żadna.

Galeria handlowa była w owej stolicy, wielka i połyskliwa, o opalizującej, niczym plama benzyny w kałuży, skrzącej się dziesiątkami tęczy elewacji z refleksyjnego szkła, w którym wszystko odbijało się niby w lustrze, pozornie takie samo, ale jakby piękniejsze i czystsze, na pewno : bogatsze.

Ktokolwiek przejrzał się w cudownej szybie — zaraz doświadczał magii: choćby nawet był bezdomnym łachmaniarzem, przemielonym przez alkohol żulem w znoszonych ciuchach z darów, w spranych dresach z Caritasu — widział siebie niejako w garniturze, z teczką w jednej dłoni i smartfonem w drugiej. Przyśiągłby na wszystkie świętości ów biedaczyna, że pod szyją wyrósł mu krawat, kląby się, że na nogach miał błyszczące, skórzane pantofle.

Na poziomie minus pierwszym drogiej i ekskluzywnej galerii znajdował się sklep. Butik. Królestwo właściwie, gdyż ceny w nim były jak na kieszeń królowych. Albo utrzymanek milionerów. Ewentualnie: celebrytek z najwyższej półki, o ile istnieje coś takiego jak półka, na której poustawiane są, względem stopnia bezwstydu, zepsucia i poziomu parcia na szkło, stałe bywalczyńskie łam Pudelków, Kozaczków i tabloidów, wybitnie nieuzdolnione, znane tylko z tego, że są znane, kobiety.

Stała na poczesnym miejscu, pyszniąc się, królowa wystawy — dumna i majestatyczna, kosztująca krocie torebka cesarskiej, arcyksięskiej marli Leris-Vaython (już samo brzmienie nazwy tej firmy budzi u chorych na ciężką postać materializmu pań miłe łechtanie w okolicy podbrzusza, wywołuje parorgazmalne doznania).

Złoto-beżowa dama nad damy, torebkowa faraonka, bóstwo, bogini z najnowszej kolekcji była, rzecz jasna, obiektem pożądania setek, jeśli nie tysięcy mijających ją pań. Omiatały głodnym wzrokiem, śliniły się do niej, niczym etiopskie dziecko do miski wodnistej zupy, pragnęły jej bardziej niż swoich mężów, partnerów, narzeczonych, kochanków. Tych — miały na co dzień, na wyciągnięcie ręki, torebka zaś — choć pozornie fizycznie bliska — leżała w sferze nieziszczalnych planów, marzeń nie mających szans na realizację. Była nieproroczym snem na jawie, tyleż nieodległa, co leżąca niejako w niebiesiech, ponad chmurami, albo i w innej galaktyce.

Torebka-Alfa Centauri, na którą nie mogły sobie pozwolić, bo i która, nawet ponadprzeciętnie zarabiająca kobieta jest w stanie wyłożyć AŻ TYLE pieniędzy na jedną, w dodatku nie pierwszej potrzeby rzecz, wydać na kaprys, bzdet, dodatek do garderoby równoważący średniej klasy samochód?

Stała więc, czekając na mityczną krezuskę, torebka-mit, niemal uśmiechała się cynicznie i z wyższością obwisłymi rączkami, zdawała się mówić: "Co, sprzątaczkę, posługaczkę na bankiecie życia — nie stać was na mnie, tak? Patrzcie, syćcie się, karmcie oderwane od telewizorów oczy, wlepiajcie gały, jakbym była tysięcznym odcinkiem Trudnych spraw albo Klanu! Pragnijcie, spalajcie się, zagryzajcie z niespełnienia i płaczcie, że nie możecie mnie mieć! Obwiniajcie słabo ogarniętych, niezaradnych mężów, róbcie im wyrzuty, awantury! Prawdziwy świat jest poza zasięgiem waszych cuchnących cifer i domostosem rąk. Gdzież waszym kundlim łapom do mnie, wy operatorki ścierek i mopów!".

Stała tak, nadymała się, torebka nad torebki, aż nie uszło to uwadze Sandry, jednej ze sprzedawczyń.

— Ty, Kinga — chyba coś tam jest schowane... — Mruknęła do koleżanki po fachu, sprzedawczyń.

— Nooo, tak wygląda... — Zmarszczyła wyskubane niemal całkowicie, zredukowane do cieniutkich kreseczek brwi, Kinga.

Zaaferowane panienny otworzyły pancerną (sic!) gablotę z arcydrogą galanteria skórzaną.

I buchnął zaraz zupełnie nieekskluzywny odór gnijącego mięsa. Dziewczyny aż odrzuciło.

Trzymając się za nos i wstrzymując oddech, wyjęła Sandra torebkę od Lerisa-Vaythona. Otworzyła zam-

ki. I pobiegła na zaplecze, wymiotować.

Gdyby nie konieczność pilnowania towaru, zostania za ladą — Kinga zrobiłaby to samo. Chcąc-nie chcąc zmięła w ustach kłęb gorącej śliny, przełknęła go i z trudem krzyknęła do koleżanki:

— Odświeżacz przynieś! Szybko!

Smród był bowiem niezmierny. Z cud-torebki aż wylewały się... niejako ekshumowane, pełne robaków, zwierzęce wnętrzności.

Dwie oglądające portmonetki klientki, ze zrozumiałych względów — wywiało. Ulotniły się jak niepyszne nie wiedząc, czy bardziej mają być zde gustowane, oburzone, czy wstrząśnięte niecodziennymi jak na galerię handlową, w dodatku — ekskluzywną, doznaniem.

Dwadzieścia minut później przyjechała, wezwana na cito Marta, kierowniczką. Sklep — również w trybie pilnym — zamknięto. Spuszczono antywłamaniowe rolety.

— Kto, kto, kto mógł to zrobić? — Zastanawiała się, zła jak osa Marta, przeglądając zapis z monitoringu. Kto, do diabła — kto? — Pytały w duchu dziewczyny, próbując ratować niezaśmierdłe do reszty, stojące obok Vaythona, również nietanie torebki. Kąpały je w umywalce, płukały pod kranem dusząc się od smrodu, sprzedawczyni. Dławiąc się podchodzącymi pod gardło żołądkami, klnąc na czym świat stoi, myły kosztujące krocie, waniające nieco padlina torebki, psykały je (własnymi!) perfumami, byleby tylko zminimalizować straty sklepu.

Afera zrobiła się straszna: taki Leris musi, bo nie ma wyjścia, zostać odpisany, uznany za stratę nadzwyczajną, skreślony, wyrzucony! Do śmieci, jakby był plebejską reklamówką z Biedronki musi pójść, nieszczęsny, nieużywany przez nikogo, zbrukany zdradziecko, zbrodniczo zapaskudzony Vaython, dla którego nie ma ratunku!

Jakież psychopata był zdolny dopuścić się takiego niemal świętokradztwa? Hippies, lewak, jakiś anarchista, punk-squaters w imię walki z bezrozumnym materializmem śmiały podnieść niedomytą łapę na przedmiot pożądania każdej logicznie myślącej, współczesnej, nowoczesnej kobiety?

Kto, kuźwa, KTO skalał ten niemal obraz Czarnej Madonny, torebkę jasnogórską, ikoniczną, ekskluzywną, prawdziwe tabernakulum modowe?

Nie znaleziono odpowiedzi na owo nurtujące pytanie, nagrania z monitoringu nie wykazały dosłownie niczego: gabłota pozostawała nieotwierana od co najmniej trzech tygodni, zatem torebkowy skrytobójca musiał pojawić się o dokonać zamachu wcześniej.

W obawie o utratę reputacji, prestiżu sklepu, postanowiono nie powiadamiać policji. Zrozumiałe: ostatnie, czego mu trzeba to zła prasa, drwiąco-szydercze artykuły w Faktach i Super expressach, obśmiewające całą sytuację nagłówki, może nawet zdjęcia zabebeszonego Vaythona.

I gdy już-już miano wyciepnąć do śmieci szczelnie owiniętą folią, skalaną torebkę, Klaudia, dwudziesto-jednoletnia ekspedientka, co na nocną zmianę przyszła, ku zdziwieniu ledwie powstrzymujących wymioty dziewczyn oświadczyła, że:

— Ej, no co wy? Ja to wezmę! Nie marnujcie! Trzeba tylko wyrwać materiał ze środka, resztę — odmoczyć — i, przynajmniej z zewnątrz — będzie dobra. Nikt nie musi wiedzieć, co w niej było. Ani że to tylko "wydmuszka". Mówię wam — Vaythona marnować — nie ma co!

Popatrzyły jak na idiotkę, Kinga, Sandra i Marta, prawie popukały w głowy widząc, jak niezrażona odorem Klaudia wydziera lepką od ścierwa wyściółkę torby.

I przyniosła do domu po skończonej zmianie, trzykrotnie owiniętego foliami Lerisa, pazerna i złaźniona atencji, ekspedientus.

Liczyła, że uda jej się odratować przynajmniej skórzaną powłokę torebkowego rolls-royce'a. Już widziała oczami wyobraźni półotwarte ze zdziwienia i zazdrości usta koleżanek nie wtajemniczonych w padlinię aferę.

I taki ciul z tego wyszedł, torba bowiem okazała się być jak najdosłowniej przeklęta. Czar siakiś diabelski musiał ktoś — ani chybi — mag-ekolog — rzucić na absurdalnie drogą torebkę z naturalnej skóry.

Jako pierwszy o kłątwie przekonał się nazajutrz Paweł, chłopak "szczęśliwej" właścicielki Vaythona. Zszedł jak zwykle na przybłokowy parking, nucąc sobie coś pod nosem, nie rozglądając się na boki, wyjął z kieszeni kluczyki.

Dzień był zwykły, szary, roboczy, powszedni. Niepowszedni był natomiast smród, jaki buchnął, WYLAŁ SIĘ, razem z hektolitrami bebechów, żartych przez robale krowich jelit, żołądków, dwunastnic, trzustek, nerek, bydlęcych macic, z całkiem ładnej i niestarej, bo ledwie trzyipółletniej mazdy.

Niemal przewróciła Pawła owa kaskada chlustająca ze środka jego oczka w głowie, z wnętrza kochanego autka, prawie ścięła go z nóg brunatna breja.

Ledwie dźwignął się do względnego pionu, odszlamił oczy, nozdrza i usta, omiółł wzrokiem zasyfiałe i nie do uratowania siedzenia, podsufitkę i boczki drzwi — zaraz pobiegł do mieszkania, ciągle trzęsący się partner Kinguli.

Zbyt wiele horrorów widział w życiu, za dużo książek Kinga i sag dark fantasy przeczytał by nie wiedzieć, z czym ma do czynienia. Kłątwa — jak nic!

I wyleciała, mocząca się w miednicy na balkonie torebka, czy raczej jej pozostałości. Najdalej jak mógł, cisnął zdruzgotany, wstrząśnięty mężczyzna, niczym kulomiot zamachnął się i rzuuuuucił przed siebie fatalny, fatumiczny, feralny artefakt.

Niestety — szyderczo złośliwy los sprawił, że nie poleciała droga, padlinna post-torebka, hen, hen, albo i jeszcze dalej, zamiast na chodnik czy jezdnię — spadła na balkon niżej, pomiędzy plastikowe gazony-wazonny pani Jabłońskiej.

— ...rwa mać! — Zaklął Paweł i... poszedł się umyć. Kłątwa kłątwa, ale kto by się bawił w zwalczanie sił nieczystych, będąc od stóp do głów oblepiony zarobaczonymi wnętrznościami? Jakiż egzorcysta odczyniałby uroki mając we włosach lepkie, galaretowate, capiące niemilosierne paskudztwo?

No właśnie.

Parę minut później pożałował jednak, iż nie doprowadził sprawy do końca, nie zbiegł czem prędzej na dół, nie zaczął dobijać się do drzwi sąsiadki. Przekłety przedmiot — jak reguły magii i fantastyki nakażują — należy bezwzględnie spalić! Ogień musi oczyścić świat z... z...

Zaczęło dygotać. Rezonować. Walić, jęczeć, pełzać. Najpierw rozchwiały się plastikowe ścianki kabiny prysznicowej, w której zmywał z siebie, nieszczęsny Paweł, robaczywe ścierwo.

Potem — rozkołysała się podłoga i ściany działowe, wreszcie — nośne. I sufit — też się rozkolebotał.

— Co jest? Wyrzuciłeś moją torebkę? Odbiło ci? Co się tak trzęsie? — Pytała, rozglądając się cielecym wzrokiem, Klaudia. Nic a nic nie rozumiała powagi sytuacji.

— Uciekaj! U-cie-kaj-my! — Wypadł nagle z łazienki, kompletnie nagi i przerażony Paweł. Nie wdając się w zbędne dyskusje, na które zresztą nie było czasu, złapał swoją lubą za rękę i — mimo początkowych oporów — pociągnął do wyjścia.

— Zaraz pieprznie! Szybko — na dół!

— Co? Ale... co?!

— Gaz! — Skłamał w nerwach Paweł.

I, ledwie wypadli na trawnik — w istocie walnęło. Ze wszystkich okien mieszkania na drugim piętrze wybryzgnęła przeobrzydliwa kaskada.

Eksplozja brunatnego szlamu. Szkło, okruchy szyb, resztki mebli, strzępki ciała rozerwanej na kawałki pani Jabłońskiej. Krowie wymiona, przetyki, wargi sromowe, śluzawice.

Tyle smrodu w powietrzu, taki syf wzbity, wzlatujący...

Takie paskudztwo opadłe na chodnik, zaparkowane pod blokiem auta, na twarze ludzi, na ich zadarte głowy.

Plucie, jójczenie, przekleństwa, o Jezu, o Boże, o matenکو!

Przerażona Klaudia przytulająca się do mokrego ciała partnera. Stopa Jabłońskiej, ciągle w plastikowym klapku, upadająca obok nissana pana Józka.

Płuca jałówki zawisłe na gałęzi lipy. Odór nie do zniesienia. Zapaskudzona ławeczka, na której nikt przez następne tygodnie nie chciał usiąść.

Jakiś zapłakany dzieciak ścierający z włosów byczą krew.

Chudy facet z jamnikiem na smyczy.

— Nie rusz, Bobik!

Zbryzgana beżowymi strugami elewacja bloku.

Torebka, której, mimo usilnych starań Pawła i Klaudii, nie udało się znaleźć.

Opowiadka dziejąca się w świecie całkiem podobnym do naszego, błotnista i paskudna historyjka, która nie skończy się nigdy.

Był kiedyś całkiem spory, środkowoeuropejski kraj. Już dawno go nie ma. Skisł, zbutwiał, stoczyła go gnilna choroba, tłusty, lepki parch.

Przestał istnieć przedstawiony w tej bajusze świat. Został wessany w głąb wiadomej torebki. Szezęł tam.

Tak, dobrze się domyślcie: istnieje i będzie istnieć jedynie ona — droga i niosąca zagładę, wszystko niszcząca torebka dla snobek. To ona pożera światy.

Ps. Jakby ktoś jeszcze się nie zorientował: to, oczywiście, podróbka.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 13.05.2022 22:09

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.